



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 1884

BUJWID

WSPOMNIENIA
ZUŁOWSKIE

CENA
50
GROSZY

N A K Ł A D E M A U T O R A
DOCHÓD PRZEZNACZONY NA KONSERWACJĘ ZUŁOWA

1884

leg. 1884

PROF. DR O. BUJWID

PEŁ. LEKARZ REZ.

EM. PROF. UNIW. JAGIELLOŃSKIEGO W KRAKOWIE

WSPOMNIENIA ZUŁOWSKIE



DOCHÓD PRZEZNACZONY
NA KONSERWACJĘ ZUŁOWA

N A K Ł A D E M A U T O R A

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

I

Obecny Zułów jest drobną pozostałością wielkiego niegdyś majątku, znajdującego się kolejno w posiadaniu spokrewnionych ze sobą rodzin Michałowskich, Billewiczów i Piłsudskich.

Jeszcze w r. 1858, jak to widać z planu majątku Zułowa, który dzięki uprzejmości dra J. Krenickiego otrzymałem w r. 1934 w Warszawie i razem z p. ministrem Kościałkowskim jako prezesem Zw. Rezerwistów i przewodniczącym Komitetu Odbudowy Zułowa złożyłem w Belwederze, — obejmował Zułów około 8000 dziesięcin, czyli prawie tyleż hektarów.

Plan ten wykonany przez ojca dra Krenickiego, który opracowywał jako geometra takie plany dla ziemian w Wileńszczyźnie, przeznaczony był dla panny Marii Billewiczówny, jak głosi napis w języku rosyjskim. Rosyjskie są właściwie tylko litery, gdyż nigdy Rosjanie nie pisali nazwisk panieńskich w taki sposób. Widocznie wówczas jeszcze rusyfikacja Wileńszczyzny była zupełnie powierzchowna.

Przez pół roku prawie do dnia śmierci Marszałek pieścił się z tym planem, mając go umieszczonym na osobnym stole w sypialni. Powracał myślą do lat dziecięcych, przebiegał drogi i ścieżki, które pamiętał z najpierwszych dni szczęśliwego dzieciństwa.

Jakże byłby się cieszył, gdyby jego stary rodzinny dworek był we właściwym czasie odbudowany!

Pamiętam Zułów z tych czasów jego dawnej świetności.

Poznałem go mając lat 5, gdy mój Ojciec, przyjaciel Antoniego Billewicza, przybył tam w charakterze zarządzającego majątkiem podczas nieobecności Billewicza, który mając kilka innych posiadłości w tamtych stronach, często musiał bywać poza Zułowem, gdzie nie było żadnego stałego gospodarza.

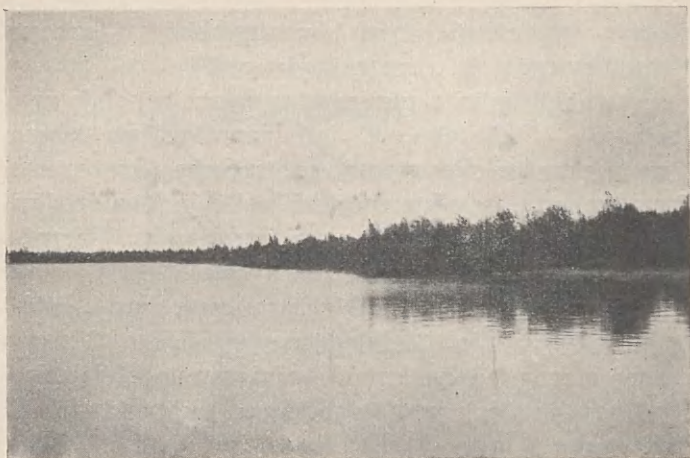
Pamiętam moje pierwsze wrażenia z Zułowa, pierwszej polskiej wsi, jaką poznałem w życiu, gdyż urodzony w Wilnie i wychowywany dotąd na miejskim bruku, nie widziałem nigdy wsi, chyba tylko jej okrawki, gdy z rodzicami wybieraliśmy się poza miasto na podmiejski spacer.

Z tych wileńskich wycieczek jednak w pamięci pozostało mi niewiele. Jedna jedyna czarowna wieczorna wycieczka w Łódce po rzece Wilii pozostała mi z owych czasów.

Fale rzeki, oświetlone bladym blaskiem księżyca, łódka wysłana świeżym sianem i kilka pęków świeżo zerwanego polnego grochu ze strąkami snują mi się niekiedy w sennych marzeniach dzieciństwa.

Ale wracajmy do Zułowa.

Zajeżdżamy sankami przed oszklony ganek dworu. Zachodzące słońce skrzy się w białym całuniecie śniegu, który wszystko pokrył grubą warstwą. Na prawo od przedpokoju mały pokoik, w którym nad stołem siedzi Grzegorz, młody pisarz folwarczny



Jezioro Piorun nad którym często bawił się mały Ziuk.

i maluje mapę. Pędzelek zagłębiony w kulce śniegu, postawionej na oknie.

Niedługo potem przygotowania do świąt Bożego Narodzenia.

A więc jazda nad jezioro na połów ryb.

Olbrzymie kloce sosnowe utworzyły na brzegu jeziora wielkie ognisko. Z dala snują się postacie rybaków, zanurzających sieci w przeręble.

Giną z pamięci dalsze epizody połowu, ale wieczorem w pokoju jadalnym przed kominkiem pojawiają się olbrzymie szczupaki. Są one zmarznięte, ale paszcze na pół otwarte, jak gdyby proszą, ażeby w jedną z nich wpakować nogę obutą w trzewik sznurowany... a potem... nogi tej wyjąć nie mogę i przewracam się na podłogę, wrzeszcząc w niebo-

głosy z przerażenia. Ktoś tam z rybaków z pokoju dla służby wybiega i wyswobadza nogę...

A teraz Wigilia i pierwsze w życiu zapamiętane drzewko — choinka. Z jadalnego pokoju przez ciemny przedpokój prowadzony za rękę przez mego Ojca, wchodzę do obszernej sali, w której na środku stoi ogromne, aż pod sufit sięgające drzewo. Wszystko w pamięci przemawia, że był to świerk, cały ozdobiony świeczkami, cukierkami, orzechami, jabłkami — nigdy nie widziałem nic podobnego. Z przeciwnej strony od kuchni wchodzi gromada dzieciaków, podobnie jak ja oszołomionych niezwykłym widokiem.

A teraz rozdawanie cukierków, rodzynek, migdałów i tyle, tyle ciekawych cudowności...

Utrwaliła się w mojej pamięci miła, spokojna postać młodego chłopaka Grzegorza, który z niezwykłą wytrwałością budował mi różne zabawki z drzewa, a które ja ciągle psułem, niby naprawiając i mówiąc, że właśnie tak powinny wyglądać. Musiałem być niezdolnym, może rozpieszczonym jedynakiem. Prócz mnie była tylko jeszcze siostrzyczka Marynia, o jakie dwa lata ode mnie młodsza.

— „A co, i znowu zepsułeś tego piłownika“ (tracza), „którego ci zrobił Grzegorz“ — powiedział mi Ojciec. — „Nie pozwolę już więcej, ażeby tracił czas na robienie ci zabawek, które ciągle psujesz.“ Zapamiętałem to powiedzenie, ale zapewne nie wpłynęło to na moją poprawę.

A polowania na łosie, niedźwiedzie i wilki!

Widzę przywiezionego łosia, którego olbrzymie

rogi służyły mi potem do jeżdżenia na nich po posiadzce bawialnego pokoju, niby na improwizowanych sankach, na których siedząc, pchałem je obydwoma rękami.

Niedźwiedź w sąsiedniej leśniczówce udusił w nocy krowę. Pojechaliśmy tam z rodzicami, ażeby pocieszyć biedną gospodynię po tak wielkiej stracie. Jedyna to była żywicielka, dawała całej rodzinie codziennie tyle mleka, a teraz ona i jej dzieciaki zostały bez tego! Poczęstowała nas gospodyni plasterkiem miodu z barci w lesie, którą odkrył leśnik. Po raz pierwszy widziałem wtedy plaster miodu.

Nie skarżyła się dłużej babina, tylko gorąco dziękowała Ojcu memu na odjeźdźnym. Zapewne krowa, nie ta sama oczywiście, wróciła do obórki, bo takie sprawy często obijały się o moje uszy. Zwłaszcza częste były szkody od wilków, które w okolicach Zułowa w zimie licznie się pojawiały i niekiedy nocami dawało się słyszeć odległe wycie, na które zwracano moją uwagę. Dużo trzeba było udzielać wsparć pokrzywdzonym biedakom.

Obławy na wilki były często urządzone i niejednokrotnie widziałem przed gankiem po kilkanaście wilków na rozkładzie.

Jak z tego widać, gospodarstwo w Zułowie nie mogło być zasobne, gdyż ani las, ani woda nie mogły dać należytego dochodu, tym więcej, iż grunta były oddane w dzierżawę włościanom za mizernym czynszem. Jakim gospodarzem był Antoni Billewicz o tym sądzić nie mogę, pamiętam tylko, że Józef Piłsudski, Ojciec Marszałka, już za czasów swego

narzeczeństwa z p. Marią Billewiczówną często przyjeżdżał do Zułowa, celem omawiania z moim ojcem i swym przyszłym teściem Billewiczem rozmaitych melioracji, mających podnieść dochodowość Zułowa. Z tego okresu pamiętam sprowadzenie niemieckich robotników spod Rygi, celem zbudowania tamy na rzece Merze, dla utworzenia zbiornika wody do użytku młyna, który był, zdaje się, jedynym dochodowym przedsiębiorstwem Zułowa. I został nim do dzisiaj.

Gdy porównam w pamięci liche żyta w Zułowie z tymi, jakie widziałem później gdzie indziej, wierzę teraz, że starania w kierunku wprowadzenia melioracji gospodarczych były niezbitie potrzebne, inaczej bowiem nie można było myśleć o jakichś dochodach.

Toteż Ojciec Marszałka nie ustawał w dążeniach i zaraz po swym małżeństwie postarał się o wzniesienie koniecznych budowli i poczynienie odpowiednich inwestycji.

II

Ponieważ chciałbym dać możliwie dokładny obraz historycznego rozwoju Zułowa, więc obecnie przytoczę nieco danych, otrzymanych od p. Kadencówny, córki siostry Marszałka — Zofii.

Ojciec Marszałka Józef, zaraz po ślubie w r. 1863, zamieszkał w Zułowie, zaś swoją część z majątku Poszuszwie (w powiecie kowieńskim położonego) odstąpił za spłatą swej siostrze Teresie za Konstantym Szymanowiczem.

Majątek Zułów należał do Matki Marszałka — Marii z Billewiczów, podobnie jak majątki: Adamów i Tenenie, w powiecie rosieńskim położone, oraz Suginty w powiecie wiłkomirskim. Majątki: Tenenie i Adamów Matka Marszałka odziedziczyła po swoim ojcu Antonim i dziadku Gasprze Billewiczach. Były to rodowe majątki Billewiczów. Majątek Suginty Matka Marszałka odziedziczyła po Michałowskich.

Pokrewieństwo Matki Marszałka z rodziną Michałowskich było następujące: Matka Marszałka była córką Antoniego Billewicza, matką jej zaś była Helena z Michałowskich, która wcześniej zmarła. Antoni Billewicz ożenił się powtórnie. Matkę Marszałka wziął na wychowanie dziad Gaspar Billewicz. Helena Michałowska była córką Michałowskiego Wojciecha z Sugint, oraz Elżbiety z Butlerów, która dożyła do późnej starości i zmarła w Wilnie w r. 1894.

Z dokumentów, które zachowały się w rodzinie Piłsudskich, widać, że Suginty kiedyś należały do Joachima Michałowskiego, ojca Wojciecha Michałowskiego, dziada Matki Marszałka i w ten sposób przeszły Suginty na Wojciecha, a od niego na wnuczkę Marię Billewiczównę, bo Matka jej Helena od dawna już nie żyła.

Majątek Zułów należał dawniej do książąt Ogińskich; na bramie wjazdowej, dziś nie istniejącej, był ich herb. W 1856 r., gdy Maria Billewiczówna miała 16 lat, majątek Zułów przypadł jej na mocy ugody między Makarską, córką Joachima Michałow-



Portrety Rodziców Marszałka.

skiego, a Ludwiką z Ogińskich Michałowską, która była żoną Wiktora, syna Joachima.

Do dzisiaj na gruntach dawnego Zułowa, obecnie na parceli należącej do Jana Czyża, znajduje się kapliczka-grobowiec mieszczący zwłoki właściciela Zułowa Jana Michałowskiego, Dziada Marszałka Józefa Piłsudskiego. Szczątki pochowanego, rozrzucone przez plądrujących grobowiec maruderów niemieckich podczas Wielkiej Wojny, zostały zebrane przez przybyły oddział polskich żołnierzy i umieszczone w grobowcu.

Kapliczka jest tuż obok plantu kolejowego w od-

ległości kilkudziesięciu metrów, na lewo w kierunku Podbrodzie—Zułów.

Tutaj też był pochowany Joachim Michałowski, pradziad Marszałka.

Józef i Maria Piłsudscy mieli 12-ro dzieci. Pierwszych siedmioro: Helena, Zofia, Bronisław, Józef, Adam, Kazimierz i Maria urodzili się w Zułowie i byli chrzczeni w parafialnym kościele w Powiewiórcy; następnych pięcioro: Jan, Ludwika, Kacper i bliźnięta: Piotr i Teodora rodzili się w Wilnie.

Ojciec Marszałka znalazł Zułów nie zagospodarowanym i zadłużonym. Przez pierwsze 12 lat, będąc dobrym gospodarzem — podniósł stan gospodarki i część długów spłacił. Spadły na niego jednak niespodziewanie nieszczęścia, poczęły się one od roku 1875 od pożaru, który zniszczył dwór zułowski. Towarzyszyły temu następne okoliczności.

Po zbudowaniu szeregu budowli, Piłsudski przystąpił do przerobienia browaru na drożdżownię. W tym celu po kosztownym przebudowaniu fabryki niedawno wybudowanej i sprowadzeniu całej aparatury, zamówił kocioł parowy. W lipcu 1875 r., w dniu tym, gdy kocioł był sprowadzany ze stacji Podbrodzie, odległej o 14 km, należało przeciągnąć go przez głęboki parów, w którym płynie rzeka Mera. Do przeciągnięcia owego kotła przez parów Piłsudski wezwał do pomocy wszystkich mężczyzn z folwarku. Tymczasem z powodów niewiadomych, może z zapróżnienia ognia z papierosa, wybuchł we dworze pożar. Odległość od parowu wynosiła około 4 kilometrów. Do ratunku dworu nie pozostał nikt dorosły,

bo wszystko znalazło się przy przeciąganiu kotła przez parów. Zanim przybył ktokolwiek, celem niesienia ratunku, spalił się odnowiony dwór i prawie wszystkie bliskie zabudowania, nawet stodoła i młyn, odległe o 250 metrów od dworu.

Na nowe budowle trzeba było zaciągnąć długi, które stawały się coraz trudniejsze do spłacenia. Rosły więc nowe zobowiązania, spowodowane chorobą Matki Marszałka, która już jako panna przeszła operację wskutek gruźlicy kości biodrowej, a teraz choroba się odnowiła, jej stan zaś był tym cięższy, iż była w stanie błogosławionym. W pół roku potem urodził się syn Jan już w Wilnie, dokąd rodzice Marszałka musieli się przeprowadzić, nie mając mieszkania w Zułowie. Potrzebnym było to również i dla dzieci, które zaczęły chodzić do szkoły.

Pierwsze mieszkanie, które rodzice Marszałka w Wilnie wynajęli, mieściło się przy ul. Trockiej w domu Nr 20 (dom Snarskich), róg Zaułka Kiejdańskiego. Potem zamieszkali w domu Nr 2 przy ul. Św. Anny. Kilkakrotnie rodzice Marszałka zmieniali mieszkanie, w końcu zamieszkali przy ul. Bakszta Nr 14, gdzie młody Józef Piłsudski pozostawał do ukończenia gimnazjum. Tam też spędziła kilka ostatnich lat Matka Marszałka, która po świeżo przebytej operacji nie mogła wyjechać do Zułowa i ostatnie lato spędziła na Antokolu w willi „Ammana“, gdzie w dniu 20 sierpnia 1884 roku zakończyła życie. Została pochowana w swym majątku — Suginach, w grobach Michałowskich. Wiosną tegoż roku zmarły bliźnięta Piotr i Teodora, mając pół-

tora roku życia, na zapalenie płuc po kokluszu i zostały tamże pochowane.

Po śmierci Matki Marszałka, interesy majątkowe szły coraz gorzej. Majątki były odległe od siebie. Tenenie i Adamów znajdowały się aż pod Tylżą. Oddane w dzierżawę za małym czynszem, przez dzierżawców nie były należycie dochodowo prowadzone, długi coraz bardziej rosły, choroba Matki i kilkakrotne operacje pochłonęły dużo pieniędzy. Dwaj najstarsi synowie: Bronisław i Józef zostali uwięzieni za udział w spisku na życie cara Aleksandra III, starania o złagodzenie wyroku pochłonęły dużo pieniędzy i nie pozwoliły zajmować się gospodarstwem w Zułowie. Synowie zostali zesłani na Sachalin i Syberię. Trzeba było sprzedać Suginty, a następnie i Zułów.

W styczniu 1892 r. Zułów został sprzedany przez Bank Ziemski na licytacji, potem Adamów i Tenenie, które zostały rozparcelowane. Parcelacji nie mógł przeprowadzić sam Ojciec Marszałka z powodu przepisów hipotecznych, nie zezwalających na parcelację majątku obciążonego wierzytelnościami oraz niemożnością nabywania ziemi przez osoby polskiego pochodzenia. Chcąc ratować Zułów, Ojciec Marszałka uprosił ks. Michała Ogińskiego, ażeby ten, mając duże stosunki w Petersburgu, kupił Zułów na podstawie rosyjskie nazwisko. Ks. Ogiński zgodził się i Zułów został kupiony na licytacji przez niejakiego Laskowskiego, Polaka z pochodzenia, ale już prawosławnego, naczelnika więzienia w Wilnie. Gdy jednak o tym obejściu prawa dowiedziały się władze

rosyjskie, usunięto Laskowskiego z posady, zaś ks. Ogiński otrzymał groźbę zesłania do Jarosławia w Rosji. Na skutek tej groźby ks. Ogiński musiał sprzedać Zułów Rosjaninowi Klimowowi z Rygi, po czym po paru latach Zułów został kupiony przez oficera rosyjskiego Kurnosowa.

W tym to stanie Zułów pozostawał do czasu przejścia w ręce Państwa Polskiego. Z wielkiego majątku, mającego ok. 8000 hektarów, pozostała resztówka o 63 ha powierzchni, zakupiona przez Zarząd Główny Związku Rezerwistów w r. 1934.

III

Jak widać z tego krótkiego opisu, Ojciec Marszałka przechodził w życiu bardzo ciężkie koleje. Dość należy, że już we wczesnej młodości dotknięty został kalectwem — utratą palca, który został zmiążdżony przez znarowionego konia. Utrata wskazującego palca prawej ręki uniemożliwiała mu studia inżynierskie, jakim zamierzał się poświęcić. Wobec tego wstąpił do Instytutu Agronomicznego w Horyhorkach (mohylowskiej gub.), który ukończył.

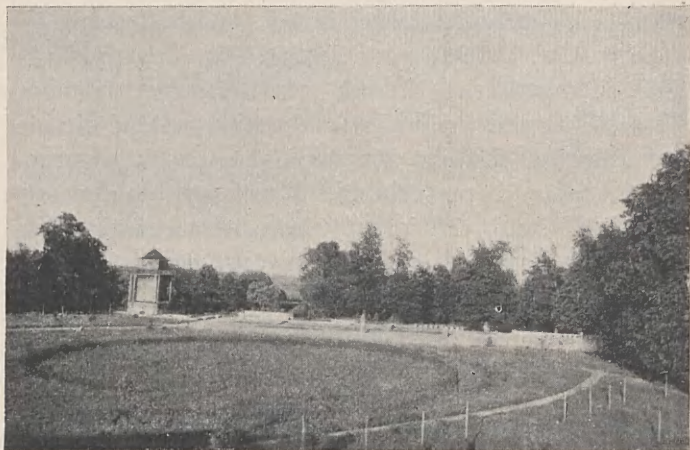
Z wybuchem powstania w r. 1863 spełnia swój obowiązek narodowy i obejmuje stanowisko Komisarza Rządu Narodowego na powiat rosieński. Przeżywa tragedię daremnych wysiłków powstańczych, usuwa się z niebezpiecznego terenu i osiada z rodziną, w dalekim od miejsca jego działań powstańczych, Zułowie. Tu z początku idzie mu dobrze. Po-

prawia zapuszczoną gospodarkę i rozbudowuje ją. Lecz w roku 1875 pożar całej siedziby i fabryki nie tylko niweczy pracę 12 lat, lecz wciąga go w nowe długi, z których już do końca życia wywikłać się nie może. Ciężka choroba żony pogłębia przykrą sytuację moralną i materialną. Dwaj starsi synowie w r. 1887 łamią karierę życiową. Szczególnie ukończony syn najstarszy Bronisław trafia w tak ciężki splot tragicznych wypadków, że Ojciec traci nadzieję zobaczenia go kiedykolwiek w życiu, co się też rzeczywiście sprawdziło.

Na koniec przychodzi ruina materialna i sprzedaż wszystkich trzech majątków razem z przykrą odpowiedzialnością moralną przed dziećmi, z których większa część nie była jeszcze pełnoletnią, a wszak wszystkie majątki były ich własnością po Matce, a tylko w administracji ojcowej.

Jednak Ojciec Marszałka nie załamuje się. Od chwili objęcia Zułowa w r. 1863 żyje niezwykle skromnie i oszczędnie. Nie używa żadnych trunków, nie gra w karty, co doprowadziło do ruiny wielu z jego sąsiadów w owych czasach, robi na sobie samym jak największe oszczędności, nawet nigdy nie jeździ dorożką, na dworcach nie używa tragarzy. Borykając się z trudnościami po sprzedaży Adamowa i Teneń, prowadzi dzierżawy w gub. kowieńskiej, lecz gdy i to nie dopisuje, przenosi się do Petersburga i próbuje prowadzić fabrykę likierów.

Jedyną jego pociechą i zabawą jest muzyka, którą bardzo lubi. Mimo braku palca, gra dobrze na for-



Odbudowane fundamenty dworku, przed nim zarys klombu według projektu prof. Inż. Arch. Gutta, na lewo wędzarnia.

tepianie i nawet tworzy. W marcu 1902 r. wybiera się na koncert, po drodze wstępuje na szklanekę herbaty, bo czuje się zziębnięty. Nie chcąc się spóźnić, śpieszy spocony na salę koncertową. Po powrocie z koncertu zapada na zapalenie płuc i umiera 7 kwietnia. Został pochowany na cmentarzu katolickim wyborskim w Petersburgu w dniu 11 kwietnia.

Tyle mówią notatki rodzinne.

A teraz przejdę do moich osobistych wspomnień z Zułowa.

Przyszła przepiękna wiosna i spacerowanie po lesie, a właściwie po lasach, otaczających cały Zułów wokoło. Nie pamiętam nigdzie tak wielkich i pięknych



Najstarszy budynek nosi datę 1818 r., dziś Muzeum pamiątek, na lewo wędzarnia.

sasemek, jak te, które zbieraliśmy nad Merą w lasku w pobliżu dworu.

Ale nie opisałem jeszcze samego dworu, jaki pozostał w mojej pamięci. Z Wilna do Zułowa jechało się koleją do stacji Podbrodzie, a stąd piaszczystą drogą przez las do samego Zułowa. Bezpośrednio z lasu wjeżdżało się przez murowaną bramę z herbami, naokoło obszernego trawnika, pokrytego różnymi zwykłymi trawami, przed skromny drewniany parterowy dworek z oszklonym gankiem. Po obu stronach bramy poza murem znajdowały się zabudowania gospodarcze: ze strony prawej warsztat stolarski, po lewej stajnie i wozownie. Dzisiaj po prawej widać resztki murów gorzelnii (drożdżowni), po lewej zwaliska śpichlerza i wołowni. Przed dworem, jak powiedziałem, trawnik zaniedbany, ale otoczony szpalerem spirei, koło dworu szereg sta-



Szkola powszechna, dawniej dom dla służby.

rych lip, przed oknami dworu po obu stronach krzewy bzu (lilak). Rzeczka Mera leży blisko dworu; ponad śluzą stoi młyn, o paręset metrów oddalony od dworku. Mera otacza dworek półkolem, tworząc wdzięczny łuk, zbliżający się aż pod kuchnię dworską. Dworek miał około 30 metrów frontu z oficyną z jednej, a kuchnią z drugiej strony. Model dworku, odtworzony przez p. arch. Borowskiego według wspomnień moich i ś. p. Zofii Kadenacowej — Siostry Marszałka, znajduje się teraz w Muzeum Zułowskim, które się mieści w budynku dawnej piekarni, jednej z dwu ocalałych po pożarze budowli, a najstarszej w Zułowie, gdyż na odrzwiach nosi datę 1818 r.

Z lewej strony dworku zagłębienie, po którym jak na stronie prawej, gdzie przepływa Mera, jest ma-

leńka struga, przepływająca od strony jeziora Piurun. Struga ta tworzy stawek, poza którym znajduje się obecnie szkoła powszechna im. Marii z Billewiczów Piłsudskiej, dawniej budynek służący za mieszkanie dla służby folwarcznej. Nad stawkiem kilka starych olch; pamiętam je jako drobne krzewiny, pod którymi po raz pierwszy zaznajomiłem się z kunsztem rybołówstwa, łowiąc w stawku drobne płotki pod kierunkiem kuzyna mego ojca — Antoniego Klukowskiego, znanego wileńskiego litografa i doskonałego kopisty starych obrazów. Do dzisiaj posiadamy w rodzinie jego przepiękną kopię Widzenia św. Antoniego.

Ale Klukowski, siwy powstaniec z r. 1831, jakkolwiek o kuli, ruszał się żwawo, gdy chodziło o spacer na ryby. Poprowadził mnie też razu pewnego do stawku i trzymając za rękę, wyciągnął ze stawku kilkanaście płotek, które uważałem jako bezsporny mój połów i głośno się z tego chwaliłem.

Razu pewnego wieczorem przyjechał do Zułowa Antoni Billewicz (Ojciec Matki Marszałka) dla konferencji gospodarczej z moim Ojcem. Siedliśmy wszyscy przy wieczornej herbacie. Billewicz usadowił mnie koło siebie i w pewnej chwili odezwał się do mnie swym litewskim akcentem i głosem, który jeszcze dzisiaj brzmi mi w uszach i do złudzenia przypomina głos i sposób mówienia Marszałka:

— Ja słyszałem, że ty lubisz łowić ryby?

Słuchałem dalszego ciągu z niezwykłym przejęciem, co też powie tak poważna osoba o moim nowym zamiłowaniu, które wypełniało wszystkie wolne

chwile marzeniami. Zdaje się, że nic nie odpowiedziałem na zapytanie, czekając co dalej usłyszę.

Billewicz zaś dodaje po chwili:

— Dawajcie latarnię.

Gdy latarnię podano, Billewicz bierze mnie za rękę, prowadzi do sąsiedniego pokoju bawialnego, tam, gdzie w zimie stała choinka, a posadzka nosiła ozdoby w postaci rybich ogonków i opuszczając latarnię ku posadzce, powiada:

— Nu łapaj!

O mało nie rozplakałem się głośno z oburzenia, ale zapamiętałem to pokrzywdzenie mego rybackiego honoru na całe moje długie życie.

Panna Maria Billewiczówna również przyjeżdżała z Ojcem swym do Zułowa. A widocznie lubiła dzieci, gdyż pamiętam, jak usadowiwszy mnie razu pewnego na stole, rozpytywała jak mi się tutaj podoba, na co odpowiedziałem zapewne ze wszystkimi zachwytemi. Ale prawdopodobnie nie powiedziałem nic, gdyż wówczas nie umiałem być rozmowny.

Jedno pamiętam tylko, że bardzo mi wielką sprawiał przykrość, gdy mówiono do mnie tonem pieszczotliwym, jak do dziecka. A to się raz przytrafiło pannie Marii. Matka moja wysłała mnie do niej z zapytaniem, która godzina. Odpowiedź brzmiała: „Siama dwunaśta.“ Wileńskim sposobem mówiło się: „Sama dwunasta“, ale pocóż mówi się do mnie, jak do dziecka, gdy ja już dobrze wymawiam. I to także sobie zapamiętałem, jako jedno z zułowskich przeżyć.

IV

Przyjeżdżał do Zułowa jeszcze jako narzeczony panny Marii — Józef Wincenty Piłsudski, którego pamiętam, jako zawsze zajętego sprawami gospodarczymi w kierunku różnych ulepszeń i budowli. Mówiłem już o budowanej dla młyna tamie czy służbie, była mowa i o jakiejś gorzelni, czy browarze, tu jednak pamięć moja odmawia mi posłuszeństwa.

Przy pracach w polu nie widziałem nigdy nikogo ze dworu, najczęściej pamiętam tylko nazwisko Błażewicza ekonoma i Nagrodzkiego, którego funkcji nie znałem. Pełnił on, zdaje mi się, między innymi funkcje stawiacza pijawek u chorej służby. W jednym przypadku nieudanego leczenia usprawiedliwiał się w szczególny sposób: „pijawecka dosła do serca i dziewczyna umarła“ — mówił sepleniąc. Tak wyglądały wtedy kuracje. Lekarza w Zułowie nigdy nie widziałem. Moja rodzina była w dobrym zdrowiu. Ale, jak widać z rodzinnych notatek, gruźlica zabierała spośród rodziny Billewiczów i Piłsudskich liczne ofiary. Przecież i Marszałek przebył gruźlicę. Nie wiadomo, czy nie pochodziła ona od Matki.

Nie mogę pominąć milczeniem wspomnienia o pierwszym moim spotkaniu z psem, dotkniętym wścieklizną, co właśnie miało miejsce w Zułowie. Było tam zawsze dużo moich psich przyjaciół. Wy różniał się wśród nich duży gończy pies Zagraj, który często przychodził za mną do pokoju dziecięcego i z tego powodu miałem utarczki z piastunką.

Pewnego upalnego poobiedzia bawiłem się nad

brzegiem Mery pomiędzy kuchnią a oficyną, gdy przybiegł Zagraj i legł nad brzegiem koło mnie. Po-słyszałem przestraszony krzyk i głosy: „Uciekaj, bo to pies szalony.“ Tak nazywano psy wściekłe na Litwie.

Pies objawiał oznaki niezwykłego zmęczenia. Wi-docznie był mocno zbiegany, dyszał ciężko, z pyska ciekła mu obficie zielona ślina.

— „Biedny mój Zagraj, co tobie?“ — pieściłem go, głaszcząc i tuląc do siebie jego głowę. Nie wie-działem nic o niebezpieczeństwie, jakie mi groziło. Nie wiem, jakim sposobem znalazłem się w pokoju na kanapie, otoczony przez najbliższych, którzy ba-dali, czy mi się coś nie stało.

*

Na horyzoncie Zułowa zaczęły przebiegać chmury bliskiego powstania.

Zjeżdżały się z okolic bliższych i dalszych panie, które siadały wokoło stołu i skubały szarpie. Męż-czyźni wieczorami odlewali kule, a gdy pytałem, po co tyle, odpowiadano mi: — „Na niedźwiedzie“.

Znikł młody Grzegorz. Po nim zniknęli obaj Po-żerscy Henryk i Edward, bracia stryjeczni mojej Matki.

Często zbierano się i śpiewano: „Boże, coś Pol-skę“... Pewnego południa, gdy pomiędzy innymi pa-niami była i panna Maria Billewiczówna, śpiewano tak rzewnie, że nie mogłem się oprzeć głośnemu płą-czowi, tym więcej, że widziałem u wielu łzy w oczach. Stary Klukowski wyniósł mnie z pokoju

ze słowami: „Czego ty wrzeszczysz?“ — ale sam miał łzy w oczach. Od czasu do czasu pojawiał się w Zułowie jakiś marsowej postaci człowiek, który zamykał się z Ojcem w osobnym pokoju. Jednego takiego mogłem bliżej zobaczyć, gdy ojciec wezwał mnie wtedy do siebie. Ciekawa to była postać. Wysoki i barczysty, ale tak posiekany na twarzy i całej czaszce, że dziwnym się zdawało, że się kości trzymają. Przez sam środek głowy przebiegała głęboka na palec bruzda.

— Co, prawda, jaki jestem piękny? — zapytał.

Stałem przed nim przerażony, wreszcie uciekłem z pokoju.

Przyjechał jakiś ksiądz, którego nazywano Szalonym. Obiło mi się nazwisko Mackiewicza, ale nie wiem, czy można było łączyć to nazwisko sławnego powstańca z osobą księdza, którego wtedy zobaczyłem. Pamiętam tylko, że nic nie mówiąc i nie pytając (a przyjechał na zgrzanym koniu), rozebrał się i wszedł z koniem do stawu przy dworze. Objęły się potem o moje uszy nazwiska: Wysłoucha, Padlewskiego i innych.

Wreszcie pewnego popołudnia, gdy rodzice moi wyjechali, nie wiem, przypadkowo, czy naumyślnie, nie chcąc być podejrzanymi, że otwarcie goszczą powstańców — do dworku Zułowskiego zjechała partia tęgich, rosłych młodzieńców. Jeden z nich wszedł do pokoju, z którego wyglądałem przez okno wraz z piastunką. Otworzył drzwi i kładąc dłoń na rękojeści szabli, wyrzekł pamiętne dwa wyrazy:

— „Tu mam...” — Zapewne miał rozkaz zakwaterowania.

Co chciał powiedzieć dalej, nie wiem. Wrzasnąłem ze strachu i schowałem się za plecy piastunki.

Młodzieńcy rozgościli się we dworze.

Rodzice wrócili dosyć późno. Zaraz zaczęły się przyciszone rozmowy. Ojciec coś przekładał, mówiąc, że sprawa się nie uda. Słyszałem z różnych stron rzucane wyrazy i zdania o zaburzeniach w Petersburgu, które będą nam na rękę. Potem o wojskach, które wysyła Garibaldi z Włoch. Widziałem, jak Ojciec biegał niespokojny, mówiąc, że nic teraz z tego nie będzie. Nie słyszałem, kiedy odjechali goście. Ale już na drugi dzień rozeszła się pogłoska, że zbliża się wojsko rosyjskie. Gdy zapytałem piastunkę, czy to idą Moskale, odrzekła z naciskiem:— „Nie mów tak, to nasze wojsko“.

Po pewnym czasie zobaczyłem to „nasze wojsko“, jak wchodziło przez bramę wjazdową z bronią gotową do strzału, jak gdyby oczekiwało zasadzki. Tej naturalnie nie było. Więc prędko ośmieliły się wejść na dziedziniec coraz nowe szeregi, aż wreszcie zappełnił się cały klomb przed dworem. Trzeba było wynieść dostatek jadła i napitku, ażeby należycie ugościć przybyłych, którzy zachowali się zresztą przyzwoicie i szkody ani krzywdy nikomu nie zrobili.

Po dwóch dniach przybyła z Wilna straż i odwiozła Ojca mego do więzienia. Nie był tam jednak długo. Słyszać było tylko o okrucieństwach Murawiewa. Tu powieszono tego, gdzie indziej stracono in-

nych znajomych. Wyjechaliśmy do Wilna. Tam co dnia słyhać było o nowych egzekucjach. Wielu znajomych i krewnych zginęło na szubienicy lub poszli na Sybir. Nielicznym udało się ująć za granicę.

Po naszym wyjeździe przybyli do Zułowa na stałe państwo Józefostwo Piłsudscy wkrótce po ślubie, który odbył się w Teneniach.

*

Zułów, który znałem jako dziecko, ujrzałem dopiero po kilkudziesięciu latach opuszczony i zrujnowany, jakże niepodobny do tego Zułowa, który pozostał w mojej pamięci.

Od chwili uzyskania Niepodległości marzyłem o sposobach przysposobienia w Zułowie miejsca odpoczynku dla Człowieka, który dokonał czynu wiekopomnego wywalczenia Niepodległości Zjednoczonej Polski.

Nie wiedziałem, co się dzieje z Zułowem, który tak ukochałem, a który był kolebką Wodza. Słyszałem o jego zniszczeniu i przejściu w obce ręce. Wiedziałem o spaleniu się dworu, o doszczętnym rozparcelowaniu tego pięknego niegdyś majątku. Mówiłem o moich zamiarach z wieloma ludźmi o wielkich wpływach w społeczeństwie. Przedkładałem, jak wielkim zadowoleniem musiałyby być dla Wodza, który tam ujrzał światło dzienne i stawiał pierwsze kroki jako dziecko, możliwość przebywania w tym zakątku.

Nie udało mi się przez lat kilka nikogo przekonać do tej myśli.

Aż nastąpił Zjazd Związku Rezerwistów, na którego czele stoi obecny minister Zyndram-Kościątkowski.

Zaproponowałem, ażeby on ujął w ręce sprawę Zułowa i ażeby Zułów został wykupiony przez Związek Rezerwistów i ofiarowany Marszałkowi.

Myśl tę ujął w swe ręce p. minister Kościątkowski. W ciągu roku zebrali rezerwiści powyżej 100.000 złotych. Została wykupiona już tylko resztówka w postaci kawałka gruntu o 63 hektarach powierzchni od Komitetu Ziemińskiego i Komitet Odbudowy Zułowa pod przewodnictwem Ministra w szybkim tempie począł przygotowywać siedzibę dla Marszałka.

Niestety, było już za późno. Marszałek nie doczekał się odbudowy swego dworku.

Zmarł w niespełna rok po uchwale zułowskiej.

W niniejszych krótkich, z dziecięcego wieku pozostałych wspomnieniach nie piszę nic o Marszałku. Nic w tym dziwnego. Z Zułowa wyjechałem mając niespełna lat 6 na cztery lata przed urodzeniem Marszałka Józefa Piłsudskiego. I nie spotkałem Go nigdy w latach dziecięcych. O Jego działalności pośluszałem w Krakowie a spotkałem Go po raz pierwszy w r. 1904 w Abacji, gdzie znalazłem się wczesną wiosną z mymi trzema starszymi córkami. Zostałem wówczas wezwany przez przypadkowo spotkaną p. Marię Piłsudską, pierwszą żonę Marszałka, w charakterze lekarza celem udzielenia porady, gdyż po ucieczce z rosyjskiego więzienia został wysłany do



J. Piłsudski w Sulejówku z rodziną i domownikami 1925.

Abacji dla poprawy zdrowia. Znalazłem wtedy silne zajęcie płuc sprawą gruźliczą i poleciłem pozostawanie stałe pod opieką lekarską.¹ Gdy wyprowadził Legiony Polskie z Krakowa wówczas jako pułkownik lekarz armii austriackiej i kierownik działu epidemiologii Okręgu Krakowskiego byłem w stałym kontakcie z Legionami i w moim Zakładzie otworzyłem pierwszy szpital dla chorych Legionistów. Na potrzeby Legionów dostarczałem z Zakładu bezpłatnie potrzebnych surowic i szczepionek, z powodu czego wojskowe władze austriackie wytoczyły mi

¹ Poznałem p. Marię Piłsudską w Krakowie; często konferowała z moją żoną w sprawach społecznych i niepodległościowych.

sprawę, która się wlokła do zakończenia działań wojennych i upadku Austrii. Wówczas dzięki decyzji J. Piłsudskiego już jako Naczelnika Państwa zostałem przyjęty do Armii Polskiej jako pułkownik lekarz, będąc jeszcze w r. 1917 zaliczony do Polskich Legionów przez płk. Zielińskiego.¹

Widywałem później Józefa Piłsudskiego gdy usunął się w zacisze domowe do Sulejówka, nie mogąc się pogodzić z ówczesnym kursem polityki państwowej. Zrzekł się wtedy poborów przyznanych Mu przez Sejm i odsyłał otrzymywaną miesięczną pensję do Wilna dla wspomżenia szczupłych dochodów wileńskiego Uniwersytetu. Z tego czasu mam fotografię w kółku rodzinnym z Sulejówka. Nie pomnę okoliczności w jakich została wykonana ta dla mnie tak pamiętna fotografia.

Przybył do Sulejówka kasjer z miesięczną pensją dla Pana Marszałka.

— Melduję Panu Marszałkowi, że przywiozłem pensję.

— Dobrze, a nowe groszaki pan ma?

— Są, Panie Marszałku.

— No to odda pan groszaki Wandzi i Jagódce, a z pensją to już pan wie. (Wysłać do Wilna.)

— Rozkaz, Panie Marszałku. — Po chwili kasjer zapytuje, czy Pan Marszałek pozwoli zrobić fotografię całej Rodziny. Usuwam się na bok, nie chcąc przeszkadzać.

¹ Pracowałem dwa lata, jako organizator działu Higieny w Wojskowej Szkole Sanitarnej i wykładałem na kursach przeszkolenia lekarskiego.

— A nie, Profesorze, proszę siadać z nami.

Usiadłem na stopniu i -- powstała pamiętna dla mnie fotografia.

Podczas tego dobrowolnego wygnania Marszałek żył z dochodów, jakie otrzymywał za swoje prace literackie. Z jakim polotem pisać potrafił, niech posłuży za przykład drobna rzecz — wstęp do księgi pamiątkowej w Druskienikach umieszczony w jednym z tomów Jego wydawnictw.

Odwiedziłem Go także parokrotnie w Druskienikach. Nigdy nie zapomnę momentu, gdy mała córeczka przybiegła wtedy do Matki mówiąc:

— Mamusiu, daj mi coś zjeść, taka jestem głodna!

I ten Człowiek, który całe swe życie poświęcił Idei Niepodległości — która sama tylko była Jego największą ambicją — był posądzany przez ubogich duchem rodaków, że dąży przede wszystkim do władzy dyktatorskiej.

Tak, niewątpliwie został Dyktatorem dusz. Ale dobrowolnie uznanym. Armia była stałą Jego troską, bo widział, że naokoło coraz silniej się państwa zbroją i nam bezbronnymi pozostać nie wolno. Nie chciano tego zrozumieć. Gdy Sam nie chciał zostać Prezydentem Rzeczypospolitej i wysunął na to stanowisko Człowieka, który chciał całe swe siły, wielkie zdolności i niepospolite wartości fachowe oddać na usługi Polski, ciasne głowy dziennikarskie tak nastroiły opinię, że znalazł się niepoczytalny fanatyk, który Narutowicza zamordował. Trzeba przeczytać Pamiętniki Józefa Piłsudskiego z listami do

Narutowicza,¹ ażeby zrozumieć serdeczny ból Tego Człowieka, nie tylko nad utratą wysokiej wartości jednostki, ale rozpacz nad ciasnotą umysłów, jaka spowodowała tę wielką stratę dla budującego się na nowo Państwa Polskiego. Cała pierwsza Konstytucja dążyła tylko do tego, ażeby sprowadzić do zera władzę Prezydenta, gdyż sądzono, iż On dąży do nieograniczonej władzy — dyktatury. Rozpolitykowane sejmowładztwo doprowadziło do zupełnego rozdźwięku między Marszałkiem a resztą Rządu. Nieustannie ostrzegał że tak dalej być nie może, że Państwo stoi przed ruiną. Ustąpił wreszcie w zaciśnięte domowe i najwięcej przebywał w Sulejówku. Zdawało się, że zwycięży sejmowa swawola. Nie. On tego znieść nie mógł. Nie po to całe życie starał się o zwalczanie wrogów zewnętrznych, ażeby Polska znowu się rozpadła, na ten raz już może bezpowrotnie. Musiał działać. Nastąpił przewrót majowy, wybór nowego Prezydenta Rzplitej, znowu Męża nauki i pierwszorzędnego fachowca. Przyszła nowa Konstytucja, zabezpieczająca należycie prawa Prezydenta. I znowu nie chciał zostać na czele Państwa, bo uważał, że Armia jest podwaliną. Całą resztę życia poświęcił jej rozwojowi. Nigdy nie myślał o Sobie. A zdrowie coraz bardziej słabło. Przyszły ciężkie ciosy rodzinne. Umarła ukochana Siostra Zofia.

Nikt nie ośmielił się nawet napomknąć o tym, że Jego wierni żołnierze Rezerwiści zbierają składki

1 Józef Piłsudski „Wspomnienia o Gabrielu Narutowiczu“.

na odbudowę Zułowa. Może na to nie pozwoli? A było i to możliwe. Robiliśmy wszystko w tajemnicy przed nim i w końcu zameldowaliśmy tylko, że reszta Zułowa została wykupiona i że staramy się odbudować dworek do pierwotnego stanu.

Na kilka miesięcy przed ostateczną katastrofą przyjechałem do Pikieliszek, gdzie wtedy przebywał na letnich wczasach, ażeby Pani Zofia Kadenacowa, podówczas mieszkająca w Pikieliszkach pojechała ze mną do Zułowa dla wspólnego ustalenia jak wyglądał dworek Zułowski przed pożarem. Tylko bowiem nas dwoje pamiętało stary Zułów.

Zobaczyłem wówczas Marszałka po raz ostatni.

Był blady i widocznie już w nim nurtowała śmiertelna choroba raka wątroby, która Go wkrótce zabiła.

Nie przemówił do mnie ani słowa. Tylko spojrzeliśmy sobie w oczy. Ja skłoniłem się głęboko.

Ach te Oczy!

W kwietniu następnego roku byłem jeszcze w Zułowie. Choroba daleko się posunęła. Powiedział mi o tym poufnie Minister Marian Kościałkowski.

Zebrałem bukiet sasank i przywiozłem go do Belwederu, prosząc sierżanta Wójcika,¹ ażeby Mu sasanki z Zułowa doręczył.

— Pan Marszałek — rzekł Wójcik — szukał sasank w parku w Belwederze!

Odgadłem więc myśl!

A te litewskie sasanki są tak piękne jak nigdzie.

¹ Sierżant Wójcik stale znajdował się w służbie Marszałka w Belwederze.

Na uroczystościach pogrzebowych nie byłem. Zdawało się, że i ja niedługo za Nim pójdę. Ten rok po śmierci Jego przeszedł mi niezwykle ciężko.

Ale przeżyłem.

Teraz moje starania idą w tym kierunku, ażeby ten Zułów — to miejsce Jego urodzenia, w którym i ja przepędziłem najmiłsze chwile dzieciństwa, a gdzie On pod okiem Matki zaczął myśleć o Niepodległości i sposobach jej wywalczenia — stał się miejscem pielgrzymek z całej Polski. Ojcowie i dzieci niech tutaj zaczerpną otuchy i siły i umiejętności, jak żyć dla Ojczyzny i pracować dla ludzkości.
